

NOWINY TYGODNIA

NUMER
3. VIII. 1957 r.
Nr 29 (373)

DODATEK SPOŁECZNO-KULTURALNY NOWIN RZESZOWSKICH

JEDEN POWSTAŃCZY DZIEŃ

Od kilku godzin siedzieliśmy już w schronie. „Krowy” zapaliły czwarte i trzecie piętro. Nie było nadziei, żeby ugasić rozszalały pożar. Gruzy bez przerwy zsuwały się na niższe piętra gniotąc strop i zawalając sufity. Na szczęście strop piwnicy był na tyle silny, że utrzymywał rosnący ciężar. Ale czy na długo?

Irka akurat znajdowała się na piętrze, kiedy rozwarł się nad nią sufit. Gruba belka utrzymująca jakimś cudem część sufitu przyniosła jej nogę do podłogi. Próbowała ją stamtąd wydostać — nieistety bezskutecznie. Zwaly cegiel wisiły nad nią jak miecz Damoklesa, w każdej chwili grożąc przysypaniem i zmiążdżeniem, w najlepszym razie uduszeniem. Zmęczona beznadziejnym mocowaniem się, zaczęła wołać pomocy. Kilku żołnierzy usłyszało z dołu i przedostało się do na wprost zawalonego pokoju. Irka leżała nieruchomo jakby zastygła w kamieniu. Zauważając się gruzy wzięły stopniowo jej pulchne, dziewczęce ciało. Chłopcy odrzucili gruz, chociaż cegły spadały im na głowy.

Oczyścili miejsce, w którym belka trzymała pod swoim ciężarem nogę. Ale dopiero po raz mogli stwierdzić to, o czym już Irka wiedziała. Odsuniecie belki równoznaczne było z zawaleniem się reszty sufitu.

Jak ją jednak uratować od niechybnej śmierci? Trzeba było szybko decydować, bo płomienie zaczęły się wlewać z górnych pięter, a dym stopniowo zapelniał pokój i przysłaniał widoczność. Lada chwila i odwrót może być zamknięty.

— Odrabąć nogę — powiedział ktoś.

Irka milczała, tylko zbliżała i oczy jej się zapadły. Łatwo odgadnąć, co przeżywała w tej chwili. Starczyło jej jednak siły, żeby samej podjąć nieubłaganą decyzję. Szepnęła zimno, jakby resztę nadziei chciała odizolować twardością słowa:

— Rabcie!
Przymknęła powieki i zeszytniała.

Pirat wybiegł i po chwili wrócił z siekierką. Podsunął się bliżej.

— Irka, rabcie...

Miała rzesy wilgotne od łez. Twarz jej wydłużyła się, zdawała się przezroczyta. Piratowi zadrzęła ręka. Chłopcom zrobiło się niezmiernie żal dziewczyny. Jak to, bez nogi ma zostać? Kobieta bez nogi? Teraz dopiero uzmysłowili sobie ten obraz młodej kobiety o kuli. Zobaczyli powiewną spódnicę i kawałek sterczącego drewna. To przecież straszne. Czarny aż jęknął pod naciskiem wzmożonej wyobraźni.

— Spróbujmy, może uda się bez tego — powiedział zdecydowanie i odsunął Pirata, którego uzbrojona ręka zawisła w próżni.

Znowu manipulowali przy belce. Odlupali wiszące zwalę zbitego muru, które zsunęły się trochę z belki. Coś trzasnęło. Oskoczyli. Pot oblał im twarze. Czarny był mokry, jakby wylał z balii. Irka wciąż leżała nieruchomo. Szepnęła zrezygnowana:

— Użyjcie siekiery, inaczej wszyscy tu zginiemy.

Chłopcy już jej nie słuchali. Zaryzykowali. Podkopali pod belkę i milimetr za milimetrem zaczęli ją od niej odciągać nogę obdzierając ją ze skóry. Zemdlną znieśli Irkę do piwnicy.

Panowało w niej zamieszanie. Krzyki i śmiechy, kilwile nie niemiłowat i zawođenje kobiet, śpiewy chłopców i narzekania spłotyły się w przeciągły rwetes. Przez wysokie okna piwniczne wdzierały się tumany kurzu, które przesłaniały ludzi i przedmioty. Pod ścianami, na tobołach uratowanej z mieszkań bledziny i ubrań, na ściągniętych szybko materacach leżeli i siedzieli ludzie podobni do widm. Dwie kobiety klęczyły się o rondołek z wodą, wyrzuwając sobie nawzajem naczynie i wylewając jego zawartość na staruszkę, która darła się jak zarzynana. Wśród skrzących i waliz ustawili ktoś maszynkę spirytusową i gotował kaszke manne dla dziecka. Jakaś kobieta ubolewała, że nie zdążyła wycią-

gnąć z palca się szafy swoich karakulów. Przeklinała powstanie, wygrażała powstańcom i zaraz zaczęła się rozpytywać, czy nie gra kto w brzdę, bo inaczej nie wytrzyma nerwowo. Niektórzy zakutali się w kocy i koldry, żeby tylko nie styszczyć nieustannej kanonady. Nie chcieli się nawet odsonić wtedy, kiedy podsuwano im jedzenia. W kacie przy tekturowych bokach kilku mężczyzn kleczowało i bez przerwy żarliwie się modliło, spuszczone nisko głowy na ręce splecione różnicem.

Nieopodal, między żelaznymi łózkami zawalonymi łachami i wypalonymi dwanami. Sław umizgał się do szczupłej kobiety o opalonej na ciemnobraz twarzy i jasnych, tlenionych włosach. Wyglądała czysto i ponętnie w tym tłumie zmęczonym, szarym, zakurczonym i pełnym trwogi. Pirat grał na harmonijce, a Cyпка pisała obojętnie w swojej kolorowej kłeczce podobna do Cyganki. Grupa wróciła z wywodu na Konwiktorzki. Zjawił się też Chałiński. Wszystkie kwatery paliły się. Szczębra przyniosła tragiczną wiadomość. Od strony Bonifraterskiej zasobny został magazyn karabinów. Dzieńmi akurat prowiant na pierwszemu piętrze, kiedy przez okno wodał pocisk artyleryjski z Dworca Gdańskiego. Stron się zawalił. Herkules został zabity. Nie mógł nawet odsunąć tego ciała, chociaż przesypywał gruz i starał się przeorać całą wysoka kupa naradzając się na kule, które wpały przez otwarte jak brama ściany.

Wstrząsnęła mna ta wiadomość. A więc i jego już nie ma? Przypomniałem sobie, że jako to zawziętość rzucał się na nieuczyniela. Tam, na Wolf, ile optymizmu było z jego twarzy! Nagle przebiegło mi przez myśl: „Jak długo tu jeszcze będę gnął w tej beczyność?”

Panie, jakie to szczęście, że łupnęło pana tylko w nogę — odezwał się do mnie jakiś mężczyzna w średnim wieku, ale zupełnie siwy. Spojrzałem



na niego trochę zdziwiony. — Mego syna zabili trzeciego dnia powstania na Młynarskiej, na moich oczach. — Mleśnie twarzy jakby mu stęzwały. — Razem strzelaliśmy do szkopów. Jego trafiła kula, nie mnie, słyszy pan, jego jedyne syna. Ja się załamalem, zupełnie załamalem. Chwycił mnie lek, proszę pana, taki straszny, że uciekłem z Wolf. — Opowiadał się trochę i ciągnął dalej: — Tu przystałem do kompanii miotaczy. Byłem w magazynie i akurat wyszedłem, kiedy trafił pocisk. Zginął właśnie Herkules, mówię panu, taki podobny do mego syna, a ja żyję.

Osunął się na ziemię i przycisnął ręce do skroni. Zdrada zaczął go pocieszać. Jakaś kobieta podsunęła mu talerz zupy. Patrzyłem na tego obcego mi człowieka, a przecież nie był mi obcy. Łączący nas ognia wspólnych nieszczęść i wspólnych nadziei. Łatwiej było cierpieć w masie.

Porucznik Chałiński polecił podchorążemu Andrzejowi wyszukanie nowej kwatery dla kompanii. Jego energia, spryt i odwaga zapewniały, że potrafił się wywiązać z

(Ciąg dalszy na str. 2)

Szli, szli, zgarbieni zbloteni we krwi...

„Tego dnia podchorąży Wik (Mieczysław Ubysz), speaker powstańczej rozgłośni „Błyskawica”, obserwując powrót kanałami obrońców Starówki — napisał wiersz pod tytułem „Stare Miasto”, który odzwierciedla nastroje powstańczej Warszawy...”

Szli, szli, zgarbieni, zbloteni we krwi,
Przez wieczer bez końca, wśród nocy bez końca,
Sunęła, sunęła gromada milcząca,
O mury, o asfalt trącały kikuty
Gubiły rytm buty, gubiły rytm buty,
Szli, szli, szli...

A w twarze szerniałe z zadymnym chichotem
Noc pluła żelazem, gruzami i biotem,
I szli tak od gruzów do gruzów kamienie
Cieniami obrzymów w wichurze płomieni,
Nie rzędem, kolumną — gromadą bezładną.

Szli, którzy zostali, szli, którzy tu padną,
Z junactwem bolesnym jak hardym wyzwaniem
Od śmierci do śmierci — lecz ramie o ramie,
Szli w naszym milczeniu jak w Świącie Załoby
Noc biała otwiera pod nimi się grobem.

Szli z szafica, co ostatek się jeno w legendzie —
Co będzie, to będzie, co będzie, to będzie,
But grzędnie w asfalcie zoranym pociskiem,
I jedno nam niebo, w płomieniach, jest bliskie,
I jedno nam dymy, pożarne, pożarne,
I jedna nam wolność, wśród ciszy cmentarnej...
Szli, szli, szli...

Wiatr niósł im nad głową, wiatr huczał w płomieniach,
Ze było, że padło, że dzisiaj już nie ma!
Na gruzach Starówki brząsk przetnie jak nóż
Trzydzieści dwie doby i krzyknie, że już!
Ze padło, że odwrót, że idą i idą
Zgarbieni, zbloteni, z oczami wpadłymi,
Schyleni do ziemi, do ziemi, do ziemi...
Gdy rozkaz — to trzeba, choć serce skowyczy,
W rozkazie się serca żołnierza nie liczy!
Szli, szli, szli...

A tam nie zostało nic oprócz rumowisk...
Odeszli z stanowisk. Odchodzą z stanowisk!!!
Strop zgjęty w płomieniach i w grozie i w krzykach.
But w krwawym pochodzie utyka, utyka...

Za mil tysiącem huczne brawa,
Saluty! Sława! Sława! Sława!
Dłonie złożone do oklasków —
Znow Serce Świata tonie w blasku.

Z Dymem Pożarów dom ostatni,
I dech ostatni! Jęk ostatni!!!
Żołnierzu! Żeby wilcze zabił
I przez ulice splomienione — maszeruj
Londyn, Paryż, New-York,
Surmy w Brukseli, Amsterdamie
Grają ci dzisiaj na konanie
— Pod Twoją Obroną —

Na asfalcie kikuty utyka w żywej ranie,
Grają ci bracie na konanie, więc — ramie w ramie!



Trudno dziś rozróżnić wśród gruzów dawny gmach Po czty Głównej na placu Wareckim. W jakimś restomie przycupnęli powstańcy na jednego „sztacha”.
(Foto wg „Świata”)

JEDEN POWSTANCZY DZIEŃ

(Ciąg dalszy ze str. 1)

tego zadania, które w warunkach, jakie powstały na Starym Mieście, nasuwało liczne trudności. Najważniejsze, żeby kwatery zorganizować gdzieś blisko. Łączność z Muranowem musiała być utrzymana.

A z Muranowa przeciekały wieści niewesołe. Zginął Lech z mego plutonu. Zażarte boje toczyły się znowu wokół hali autobusowej, która parokrotnie atakowali ze Stawek

chwilę, co robić. Spod podziurawionej pociskami ściany wysunęła się Chinka. Nie zważając na wybuchy granatów przysunęła się do Rawity, szybko wyjmując z torby wodę utlenioną i bandaż. Rawita jęczał cicho... Uśmiechnęła się łagodnie do niego i spokojnie zaczęła mu obmywać kikuty. — Ze mnie krew upływa... — szepnął zsiniałymi wargami. — Ja nie przeżyję.

Chinka go pocieszała. Granatnik trzepnął bardzo blisko,

mając przed sobą Grzeska, który namiętnie coś tłumaczył wymachując swoimi dziecinny mi rączkami. Na barykadzie byli już Jaroń, Michał i Marian. Z rozbitego domu wyglądał Witek snując filozoficzne rozważania na temat hitlerowskiego barbarzyństwa. Lord inż. zwykle mitygował wszystkich: — Spokojna głowa — a Małgorzata, jakby nigdy nic, wystawiała do słońca twarz wsłuchując się w zbliżający się ryk motorów. Siedzieli przed sobą, ale nie mogli dojrzeć. Ryk motoru narastał.

— To nie czołg — odezwał się Jaroń.

— Ani samochód pancerny — rzucił Michał.

— Diabli wiedzą, co znowu wymyślił — powiedział Leśnik. I w pewnej chwili patrzył przez szkła lornetki prawie że krzyknął: — „goliat”.

Lornetka przechodziła z ręk do ręk. „Goliat” jak duży żółw wdrapywał się na ruiny, zsuwał się w lewo, znowu wylał i waczac złowrogo pchał się powoli do przodu, jednostajnie, nieustępliwie zbliżając się do barykady.

— Ależ to gad, prawdziwy gad — wycedził przez zęby Michał.

— Niech tu trzaśnie, a nic z nas zostanie.

Chłopcom oczy wychodziły z orbit, ciała pokryły się gęszą skórą. Witek chciał w nie go rzucić wiązkę granatów, ale na szczęście ktoś go od tego powstrzymał silnym szarpnięciem ręki.

— Tylko bez nerwów — uspokajał Witek odierając ręką krople potu spływającego z rozpalonego czoła. Zdjął okulary, przetarł je chusteczką, Małgorzata dalej się opalała przyciskając apteczkę polową.

„Goliat” zbliżył się prawie na sto metrów od barykady.

Leśnik zawołał:

— On coś ciągnie.

Szary zawtórował:

— Coś ciągnie.

Chłopcy jakby na komendę krzyknęli:

— Widać drut, długi drut z tyłu.

Zapanowała konsternacja. Strach podpełzał pod gardło. Uciec stąd? Nigdy. Niemcy tyko na to czchają, żeby się rzucić do ataku i zająć remizę,

która była węzłowym punktem odcinu w północnej części Starego Miasta. Zostać? Ale przecież to śmierć. Sprzeczne uczucia miotaly żołnierzy. Nikt się nie ruszał.

— Zaczekajcie, zaraz wracam — nerwowo odezwał się Leśnik i pobiegł do remizy. Za chwilę wrócił z nożycami. Przeciśnął się między tramwajami, przelał na drugą stronę barykady, podczołgał się do kabla i szybkim ruchem go przeciął. Chłopców aż zatkało z napięcia. Leśnik kilkoma skokami wycofał się na barykadę. „Goliat” posuwał się powoli naprzód. Strach nie ustępował. Nie wiadomo czy to kabel do sterowania, czy też do wysadzania. W pierwszym wypadku wybuch był nieuchronny.

— Schowajcie się — krzyknął ktoś do Małgorzaty i Magdy. Obie nie reagowały. Małgorzata chrupiąc twardą czekoladę patrzyła na „goliata”, który w tej chwili dosięgnął barykady, oparł się o tramwaj. Twarze chłopców wyciągnęły się, nogi wrosły w ziemię. Motor warczał, po tem zgasł i zapanowała nagle taka cisza, jakby wszyscy na raz ogłuchli.

Paula, która przyszła z Muranowa od podpułkownika z decyzją szybkiego założenia dodatkowego punktu sanitarnego, opowiadała o wspomnianych wypadkach ze wszystkimi szczegółami. Mieszkańcy słuchali z podziwem. Widać było, że są dumni z powstańców. Mężczyźni przestali się modlić, podeszli jak najbliżej i kreśliłi zadowoleni głowami. Niektórzy wyleźli nawet spod swoich koców, chociaż z zewnątrz wciąż dochodziły odgłosy strzelaniny. „Goliaty” okazały się nie takie znowu groźne, i to jakby nieco pocieszało. Sław wrócił z patrolu. Niemcy podobno znowu przypuścili atak na remizę. Tygrys został ranny.

Stuchalem tego wszystkiego z zapartym tchem, podniecony. Miałem na pewno wysoką gorączkę, bo raz było mi duszno, raz znowu zimno. Z trudem powstrzymywałem szczękanie zębami. Rawita, Bogdan, Herkules — wciąż majaczyli mi się ich twarze. A tu znowu Lucyna siedzi z rozwianą czupryną na parapecie okna pokójka tuż pod niebem i śmieje się, śmieje się głośno. I Tygrys z obolałym zębem, poważny, trochę odcieżył.

Andrzej znalazł odpowiednie pomieszczenie na parterze



Barykada przy ul. Złotej

w podwórzu przy Mławskiej 5, w mieszkaniu pana Cebuli. Sław wyraził gotowość zorganizowania punktu sanitarnego. Iza przeniosła tam trochę medykamentów i naczyń, które udało uratować. Pan Cebula oddał do dyspozycji duży pokój, ale wyciągnął z nie-

— Dosyć mamy tego samobójstwa! — wołało kilka kobiet, groźnie im wymachując pięściami pod nosem. — Dosyć tej mordowni! Wszystkich nas tu wykończą! Ktoś krzychał z kątą zanosząc się ostrym kaszlem:

— Nie wytrzymamy dłużej. Już wszystko straciłem. Skończyć już raz...

Chłopcy chcieli bronią wymusić otrzymanie prześcierań, ale się zmiłgowali, bo też nikt więcej nie popierał tych głosów, a odwrotnie większość zaczęła uspokajać krzyżujących. Po krótkiej naradzie komendant OPL wręczył im cztery prześcierańca.

Porębski, wyciągając się na sienniku pokrytym świeżym prześcierańcem, powiedział, że pierwszy raz w życiu czuje się jak żebrak. Iza smażyła racuchy z ofiarowanych przez mieszkańców ziemniaków. Tym razem Zdrada chodził smutny, nie cieszył go nawet krótkie kałesony uszyte ze spadochronowej czaszy.

Późno nocą radiostacja Walczącej Warszawy „Błyskawica” nadała suchy, oficjalny komunikat:



„Miotacze płomieni” w akcji

go prawie wszystkie meble. Prosiłbym również o drugi pokój, bo sam przecież siedział cały dzień w schronie. Nie zgodził się. Twierdził, że mu zniszczymy meble, które właśnie przesuwał do tego pokoju. Żadne perswazje nie pomogły, był uparty. Chciał nam również zamknąć ubikacje, ale przeciwko temu zdecydowanie zaprotestowaliśmy.

Chłopcy przynieśli jakiegoś łóżka. Na podłodze poukładano dodatkowo sienniki. Okno przysłonięto starą połamaną szafą, która dotąd stała na klatce schodowej, patrząc za łonem w dół wybita na wysokość trzech pięter. A więc mieliśmy wreszcie izbę chorych, ale wciąż nie mieliśmy spokoju. Najwięcej kłopotów było z wilnianinem, bo ciągle mdlał. Irka wciąż się rzucała trawioną gorączką i jęczała. Dla wszystkich nie starczyło prześcierań, tym bardziej, że część z nich zużyto na bandaż. Andrzej ze Szczerba udali się do piwnic prosić mieszkańców. Nie poszło to łatwo.

„Po silnym przygotowaniu artyleryjskim Niemcy przystąpili do natarcia na rejon Starego Miasta z trzech kierunków: od Dworca Gdańskiego na remizę tramwajową na Muranowie i na północną granicę getta; z getta w kierunku na Pałac Mostowskich, Leszno i Rymarską; od ulicy Bolesć — na Rybaków. Natarcia zostały wszędzie odparte. W Warszawie stan posiadania Armii Krajowej bez zmian”.

Przypomniał mi się komunikat wojenny z książki Remarque’a, jego beznamienne tragedie brzmienie, chociaż żądz wypadków dopełniał już morze ludzkich cierpień.

„Na Zachodzie — bez zmian”.

BRONISŁAW TRONSKI

Fragment z książki Bronisława Tronskiego pt. „Tędy przeszła śmierć”, która ukazuje się w najbliższych dniach nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik”. (Str. 358, 63 ilustracje).



Pogrzeb powstańców na Woli

Niemcy używając działek przeciwpancernych. Działo artyleryjskie umieszczone na ruchomej platformie wagonu przy Dworcu Gdańskim przysięło niemiłosiernie. Nasłomono usadowili się w hall. Ale tej cienkiej ściany z supremy nie dawały żadnego schronienia przed pociskami nie-orczyjaciela, który przecieł atakował z dwóch stron. Pożółki również z łatwością przebiegły dach i rozrywały się na betonie. Była chwila, że obrońcy hall stracili łączność z remizą tramwajową, zdani na własne siły. I kiedy zdawało się, że Niemcy już zostali odepchnięci, kiedy znowu niedużych filarów utrzymujących segmenty dachu, skąd odstrzelali się chłopcy, rozległo się radome hurra, a łączność z remizą została nawiązana — właśnie wtedy spadł pocisk artyleryjski w środek hall.

Wszystko naokoło zakolysało się gwałtownie. Zrobiło się ciemno, jakby ktoś słońce przesłonił. Każdemu się zdawało, że to już koniec. Stojącemu zaczęło się rozlać. Leśnik z zdziwieniem stwierdził, że może się poruszać, że żyje. Jaroń z powrotem przysunął się do filaru, skąd zmiażdżył go wybuch. Michał przetrwał zamrożone płaskim, bez i zaczął się człochać do obojętnego wybuchem Lwa.

W miejscu, gdzie trafił pocisk, leżał Rawita błądy, z odciętymi nogami. Kałuża krwi szybko się rozszerzała. Zaczęły walić granatniki. Chłopcy patrzyli przerażeni, nie wiedząc w pierwszej

Odmianki wściekle furkotały. Chinka nawet nie drgnęła.

— Zobaczysz — mówiła, spokojnie nakładając bandażę w szpitalu, wszystko ci zrobią jak się należy, będziesz zdrow...

Dziecinna twarz Rawity rozjaśniła się, oczy zabłysły nadzieją. Z biciem serca obserwowali chłopcy tę tragiczną scenę, która budziła bolesne współczucie dla lubianego przez wszystkich, młodzieńkie go, zawsze wesołego Rawity i podziw dla bohaterstwa Chinki. Bandaże szybko się zacierwieniły. Kikuty wyglądały jak dwie pochodnie.

Punkty pierwszej pomocy, które znajdowały się w pobliżu Muranowa, legły już w gruzach. Nad szpitalem Jana Bożego wciąż jeszcze unosił się języki ognia. Do szpitala na Miodową nie można się było przedostać, bo Niemcy atakowali w kierunku placu Kasimierskich. W szpitalu na Długiej zabrakło krwi do transfuzji. Rawita skończył na noszach.

Niemcy dobrze czuli opór powstańców. Żadne barbarzyńskie metody nie potrafiły dotąd załamać ani żołnierzy, ani mieszkańców staromiejskich uliczek, które przypominały jedną wielką twierdzę. Kruszyły się mury, śmierć czyhała na obrońców ze wszystkich stron, nic nie mogło osłabić ducha walki, aczkolwiek tu i ówdzie rozpaczył i zwątpienie coraz wyraźniej zaczęły nurtować ludzi stłoczonych w śmierdzących piwnicach. Niemcy sięgnęli po nową broń, po tzw. „goliaty” — czołgi gąsienicowe z ładunkiem dynamitu.

Tegoż dnia po raz pierwszy puszczono „goliata” na remizę tramwajową. Chłopcy usłyszeli ryk motoru z drugiej strony barykady zrobionej z przewróconych tramwajów.

— Czołgi idą, panie pułkowniku — meldował Leśnikowi mały łącznik, Grzesiek. — Mamy się wycofać?

— To my przez tyle lat wciąż czekamy na czołgi, żeby się wycofać, synu miły! — poglaskał go po ubrudzonej twarzy. — Skąd idą?

— Ze Stawek wprost na barykadę przy Sierakowskiej, panie pułkowniku — odpowiedział podnosząc machinalnie drobną rękę w tamtym kierunku.

Leśnik zabrał granaty ze stołu. Wraz z Wickiem i Szarym pobiegli na barykadę,



Od dłuższego czasu po dzień dzisiejszy, portret zajmuje zasadnicze. Malarz portretując jakąś osobę, nigdy prawie nie poprzestaje na namalowaniu jednego płótna. Tworzy on całą serię obrazów i w każdym mówi o osobie portretowanej coś nowego. Każdy z nich odkrywa jakiś nowy motyw — wzruszenia, wyrazu, stanu psychicznego, charakteru. Są to wnikliwe poszukiwania człowieka, jego skomplikowanej istoty i zmiannych przeżyć. Mówi więc o miłości człowieka; miłości, która wciąż zmienia kształt. Czyny to poprzez formę, a ponieważ wszystkie formy, jakie stworzyła sztuka czasów dawnych i teraźniejszych są jego własnością, posługuje się ni-

mi radością i bez obawy; przekształca je i tworzy nowe, z prostotą garniarza modelującego coraz to inne naczynia. Znaczna jest liczba portretów Picassa i olbrzymia różnorodność form, a trapije w nich widza:

„Kobiety piaczące” zapoczątkowane studiami do Guerniki — długa seria portretów Dory Maar, Mary, Eluarda — wnikliwej patrzący odkryje tu rzecz znamioną: Wbrew zaskakującym zestawieniom form, w gruncie rzeczy, pozostałe Picassa wierny realistycznej tradycji w poszukiwaniu charakteru i osobowości modela.

Rok 1937 otwiera słynną se-

Rozmowy o malarstwie

PORTRETY

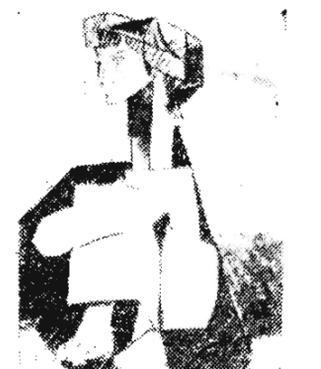


rię portretów kobiet siedzących w fotelu. Są to utwory przeważnie o satyrycznym zabarwieniu. Ironia artysty ujawnia się tu z całym impetem. Różne są jej odcienie, od humorystyki — do gwałtowności pamphletu.

Ważną rolę spełnia w nich metafora. Jest więc dziewczynny portret kobiety karmiącej pierśią kota. Kiedy indziej kapelus kobiety, przypominający rybę, przekształca malarz rzeczywistość w rybę, dodając jeszcze dla podkreśle-

Ma jej prawdziwości sztuczne i chwytliwą cytryny.

Słyszac powszechnie określenie dla kobiet pewnego argumentu — „poule” (kura-kokota) — nogi modelki w pantoflach na wysokim obcasie, przemienienia w kurze łapy. Domalokuje też parę skrzydełek i grzebień zamiast kapelusza.



Wyjście z kanału

NIEDAWNO „Świat” zamieścił artykuł w całości poświęcony Rabce — jednemu z najbardziej znanych uzdrowisk. Artykuł był wielkim lamentem na gospodarowanie skarbami mineralnymi, na planowanie i niekonsekwencję. Dość powiedzieć, że „fachowcy” na siłę chcieli uczynić z Rabki ośrodek leczenia gruźlicy i w szóstki prace szły tylko w tym kierunku, by budować sanatoria. Tymczasem klimat Rabki, kąpiele z solanek jodo-bromowych wykazują oficjalnie niebezpieczeństwo, które zagraża gruźlikom. A więc — paradoks ogólnopolski, za który ktoś powinien odpowiadać. Kto? Na razie ponoszą konsekwencje tylko chorzy.

Uzdrowiska chylą się ku upadkowi. Niszczą bogactwa naturalne, marnują się możliwości lecznicze, niewykorzystane z braku pieniędzy, albo raczej z powodu złej gospodarki i nieznaomości podstawowych praw ekonomicznych przez ludzi odpowiedzialnych za tę gospodarkę.

A przecież wszystkie uzdrowiska posiadają swoją bazę materialną — wody lecznicze i klimat. Mówiąc po ludzku mają z czego żyć, co więcej mogą stać się rentowne. Oprócz naczelnego swego zadania — ratowania zdrowia tysiącom ludzi — mogą dać pieniądze, mogą przysporzyć dewiz.

Istnieje tylko jedno „ale”. Musi znaleźć się gospodarz, który w pełni doceni ich znaczenie dla gospodarki ogólnonarodowej, który będzie konsekwentnie gromadził kapitał z ich dochodów na dalszą rozbudowę, który zaprzestanie systemu eksploatacji zdrojów do maksimum, czego wynikiem jest fakt, że oglądamy zdewastowane uzdrowiska w rodzinach Rabki, niechlujnej i zaniedbanej Szczawnicy, czy wreszcie (głównego tematu naszego artykułu) rzeszowskiego Iwonicza.

Takim złym gospodarzem, który nie dał i nie daje żadnej gwarancji nie tylko na rozwój, ale nawet na dalsze istnienie zdrojów jest Centralna Dyrekcja Państwowych Uzdrowisk.

Ściągają tu z całej Polski. Starzy, młodzi, dzieci. Dużo kalectwa. Schorzenia reumatyczne, groźne efekty Heine-Medina, choroby przewodu pokarmowego, gardła, a nawet serca. Wniosek prosty — Iwonicz jest jednym z niewielu uzdrowisk o możliwościach wszechstronnego leczenia.

Bogate zasoby borowiny, solanki jodo-bromowe, kąpiele kwasowogłowe, woda „Karola”, urządzenia inhalacyjne, natryski — wszystko to przewyższa Iwonicz do rangi uzdrowiska ogólnopolskiego, a jeżeli chodzi o zabiegi borowinowe, obok Ciechocinka, jedyne w kraju.

Z całą naiwnością można by wykrzyknąć: chronić perle naszych uzdrowisk, pielegnujcie, rozbudowujcie. Rzeczową i zarazem bardzo ziemską odpowiedź usłyszy się od wszystkich (a trzeba przyznać, że jest ich niewiele) zainteresowanych: kto to ma robić?

wielu, wielu lat i dopiero w 12 roku Polski Ludowej zaczyna nabierać rumieńców rzeczywistego działania. Mimo że jesteśmy jak najdalej od demagogii, musimy przypomnieć historyczną wymowę faktów z anno domini 1954, kiedy to posucha letnią pozostawiła Iwonicz bez kropli wody. Bo, rzecz najważniejsza, którą dopiero teraz wyjawimy — Iwonicz nie ma zbiorników wody słod-

ją debaty w powiecie, w jaki by tu sposób zalatać dziury na przestrzeni kilku kilometrów. W wyniku tychże owocnych debat, powstało tak modne ostatnio błędne słoło. Jak czynem społecznym zmobilizowano w jednym roku chłopów do zwózki żwiru, tak w drugim sezenie także czynem społecznym poczęto ich mobilizować do wywózki. I tak w koło Wojtek. Efekt taki, że dziury i wyboje da-

brak garażu, a nuż posucha, a zatem brak wody, doly kłoczne, które się przelewają i zaczynają grozić epidemią, brak jakiegos ludzkiego lokalu, kawiarni, brak basenu, brak... Ciągły brak, brak, brak...

Jedynie zarządzenie złu, to wyjazd do Warszawy i natychmiastowa odmowa przyjęcia zagranicznych gości. Wstyd przewyciężył dewizy.

Nie należy zapominać także i o tym, że oprócz chorych w sanatoriach, wczasowiczów FWP, rokrocznie ściągają do Iwonicza rzesze ludzi z całej Polski, którzy mają w perspektywie 2 tygodnie, czy miesiąc letnika.

Zdani na siebie i własną pomysłowość pędzą „głodniałi” od sklepu do sklepu, zaczepiają wiejskie gospodarstwa, które ironicznie potraszają pustymi kbiakami i dawno opróżnionymi z mleka dzbankami.

Ranny targ (trwający wraz ze świtem najpóźniej do 7 rano), to jedyne miejsce, gdzie można kupić rabiła, owoce, ziemniaki. Oczywiście skrzętne gospodarze, doceniając wartość swego towaru, dyktują ceny, o jakich się nie śnilo: garnuszek poziomu 7 zł.

Do rzadkości należy fakt, by w sklepach GS można było kupić masło, nie mówiąc o serach czy śmietanie. Baru mlecznego (oczywiście mowa o barze państwowym) — Iwonicz się jeszcze nie dorobił. A do osiągnięcia jedynej gospody (która nie wiadomo dlaczego przybrała właśnie taką nazwę) można zaliczyć jaką taką urzędniczą kelnera uwijającego się jak mucha w ukropie.

Na kilkuset wczasowiczów, stołujących się poza pensjonatami, to wybaczyć, ale znowu paradoksalna ilość pomieszczeń „zbiorowego żywienia”.

Nie może zatem zdziwić fakt, że prywatny bar mleczny p. Sandeckiej jest obleżony w godzinach posiłków, mimo że ceny jego są co najmniej w granicach „abstrakcji”. Dowodem telerzyk poziomu (około pół szklanki) kosztował 5 zł, obiad dość lichy — 15 zł, a porcja ziemniaków (w połowie lipca br.) kosztowała 5 zł.

W ogóle z ceną ziemniaków pani Sandecka ma wiele kłopotów. W ciągu dwu tygodni cena porcji wahała się w granicach od 3—5 zł, podczas gdy w gospodarstwie monotonnie wyceniano je na 2 złote.

Nie należy sobie tłumaczyć naszego wystąpienia, dotyczącego cen w barze p. Sandeckiej, jako napaści socjalistycznych dziennikarzy na prywatną inicjatywę, jako że właśnie w tej chwili mamy zamiar złożyć publiczne iżnanie małemu bufetowi ob. Beka, gdzie solidny, smaczny pożywny obiad stale kosztował 14 zł. Interesuje nas tylko to, gdzie podziały się Wydział Handlu i kontrola i czy naprawdę nie można mieć wpływu na tego rodzaju ekscesy i „wahania”, pospolicie zwane złodziejstwem.

A w ogóle, najwyższy czas byłoby pomyśleć, by w Iwoniczu otworzyć bar mleczny państwowy i jakiś sklep z zaopatrzeniem zbliżony do „Dellkatesów”, gdzie można byłoby nabyć wedliny i artykuły bardziej luksusowe. Rezyjemy za powodzenie i dośchód z tego rodzaju placówek.

Odrębne zagadnienie ponurych i ciemnych stron iwonickiego grodu, to zagadnienie rozrywek, sportów i „świata pracy”.

Kiedyś tam, w zamierzonych czasach, istniały w Iwoniczu korty tenisowe, basen pływacki z trampoliną. Dziś w „Excelsiorze” kort zamknięty, drugi, ten w zdrojów na dole, służy za skład materiałów budowlanych.

Co do basenu, stanowi on miejsce brudu i zaniedbania. Woda od lat nie zmieniana, porosty rżęsa dla kaczek, zardzewiała trampolina i zachwaszone brzegi. A przecież parę lat temu dr. Papierkowski zwrócił się do brygad „SP” o pomoc w jego wybudowaniu. Nie mając kredytów na imprezę tego ro-

dzaju, społecznym sumptem udało mu się przystosować basen do kąpiele. Wystarczyło później trochę grosza, by basen został uruchomiony — niestety, pomysłowość poszła w innym kierunku i od 2 lat basen już stoi nieczynny.

Tak by wyglądał sport. Co do rozrywek, już bardziej miejskich, to do nich należałoby zaliczyć imprezy w „Krakowiaku”, które przez ironię nazwano danciami. Kocie dźwięki orkiestry i bufet własny — oto cała przyjemność.

W sprawie obiektów kawiarnianych i dancinowych, które są k o n i e c z n e, dyrektor uzdrowiska, tow. Sikora, użył dość ryzykownego porównania, że budując je z pominięciem potrzeb głównych, to tak samo jak kupować krawaty, będąc samemu bez spodni.

Faktycznie, trochę w tym racji, że to drobiazgi. Niemniej nie zapominajmy, że na nasze życie skłaniają się setki drobniaków i tylko parę wielkich spraw. Toteż czasem właśnie drobniaki mają znaczenie.

Na końcu dopiero wypada wyjaśnić (o ile to można nazwać wyjaśnieniem), k t o wreszcie ponosi odpowiedzialność za ten stan rzeczy.

Mysleliśmy, że trochę pomoże nam w tym Wydział Zdrowia WRN w Rzeszowie. Nasze marzenia zawiodły. Dr Kublin, zastępca przewodniczącego Wydziału Zdrowia, bezradnie rozłożył ręce. „To nie do nas. My nie wspólnie go na razie z tym nie mamy”. A więc dalej pozostaje Iwonicz bez gospodarza.

O, przepraszaam, jest Dyrekcja Państwowych Uzdrowisk w Warszawie. Ale tam Iwonicz nie spędza snu z powiek. Przysłano kredyty na budowę nowego domu zdrojowego, na odwiert „Lubatówka 12”, gdzie będzie się wydobywało solankę szczawioalkaliczną i na tym zakończono troskę o Iwonicz.

Pozostała tylko jedna, bardzo zresztą pionna nadzieja, że decentralizacja obejmie i te dziedzinie gospodarki od stycznia 1958 r. Zaraz wy tłumaczymy, dlaczego padły słowa: „pionna nadzieja”. O tóż Wydział Zdrowia ma wielkie obawy przed tegorodzaju kłopotem, jakim stanie się zarządzanie Iwoniczem. Dr Kublin zdaje sobie sprawę tylko z tego, że nie mamy pieniędzy na rozbudowę, a raczej odbudowę w tym wypadku, takiego uzdrowiska jak Iwonicz. Wszędzie jest źle. Np. Górno wymaga rozbudowy sanatoriów gruźliczych, no i jak wybrnąć z takiej kolizji?

Nasza odpowiedź jest prosta. Wszyscy zdają sobie sprawę z trudności finansowych, niemniej jednak cenimy oszczędność i planowa, mądrą gospodarkę. By można było cokolwiek przedsięwziąć, konieczny jest najpierw gospodarz terenu, zainteresowany finansowo i pracujący z inicjatywą. a. Nie mogą się zdarzyć fakty wyraźnego marnotrawstwa, jak to miało miejsce z domem „Pod Jodłą”, zniszczonym basenem, czy niepotrzebnymi wydatkami na naprawę szosy.

Owieczny problem biurokracji: przed wojną było tu 8 urzędników, dziś Zdrój liczy podobno 80. Na to chyba też nie możemy sobie pozwolić.

Dopilnowanie wielu drobnych remontów, najważniejszej w tej chwili inwestycji, jaką jest sieć wodociągowa i kanalizacyjna musi przynieść rezultaty i oszczędzenie grosza państwowego.

Wyругuje się wtedy przede wszystkim wypadki, jak np. ten z wycieczką zagraniczną. Pamiętajmy, że to są dewizy, to jest realny dochód, z którego można przysporzyć łówek dla gruźlików w Górnie.

Oprócz Iwonicza jest w woj. rzeszowskim zniszczony Rymanów, zupełnie nieprzystosowana do użytku wczasowiczów piękna Wysowa (o której pisaliśmy niedawno).

Sprawa kolonii letnich, która spędza sen z powiek dy-



I jak zwykle ograniczy się sprawa do abstrakcyjnych zarządzeń Warszawy, do kogoś, kto istnieje odczynony nimbem tajemniczości — nazwalibyśmy go najchętniej „biednym wujaszkiem” z Dyrekcji Państwowych Uzdrowisk, któremu jednocześnie ma się ochotę krzyknąć w ucho, parafrazując (bez obrazu) słowa Wyspiańskiego:

„Miałeś wujaszku złoty róg...” — a co zostało z tego sławetnego rogu, to my już, naocznie i bez ironii sami mogliśmy oglądać. Bo historia Iwonicza, to bogactwo dla demagoga i zbieracza „wszystkich ciemnych stron naszej rzeczywistości”.

Fakty, latami nie bardzo odległe, aż proszą się upowszechnienia od zaraz wydostania na forum publicum.

Tajemniczą publiczną jest, że do najskromniejszej wegetacji człowieka potrzebny chleb, powietrze i woda. W Iwoniczu, owszem, powietrze jest, nie podlega nawet kwestii, że dużo lepsze niż na zakopnym Śląsku, czy w dusznej Warszawie; z chlebem to już różnie bywa (o tym mowa będzie dalej i to mowa, skierowana pod właściwym adresem); co do wody, to już za dużo był chciał szary człowieku. Wody nie ma!

Ciągnie się ta arcyniebezpieczna zabawa już od

kiej, nie ma sieci wodociągowej i prawie cały jest nieskanalizowany.

Owa posucha, wymagająca natychmiastowego zarządzenia złu, naprowadziła ojców zdroju na zbawienne myśli, godną epoki kamienia łupanego, nie mówiąc o legendarnie — przyszłowlowym królu Cwliczku. Iwonicz zaopatrywano w wodę z Krosna. Bezkowozami.

To całe zdarzenie też wygląda na legendę — tym razem dołożył by trzeba — smutną legendę połowy XX wieku.

Dopiero sezon 1957 r. natchnął zarządców Iwonicza tak zbroczną myślą jak budowa zasobników wody słodkiej i remont urządzeń technicznych w pobliskiej Turkówce. Miejmy nadzieję, że przy oszałamiającym tempie robót za lat kilka wody nie zabraknie.

Strach tylko pomyśleć, co by było, gdyby... tak w tym roku zdarzyła się jeszcze posucha?

Ale inny fakt, a propos tempa robót. Nazwę dla tegoż faktu wymyśliłbym nie nową: „Otwarty problem iwonickiej drogi”. Nie musimy chyba dodawać, że ciągnie się to proporcjonalnie długo do sprawy wody i kanalizacji — 12 lat.

Dojazd do Iwonicza, to danse macabre autobusowy czy taksówkowy — typowe polskie wyboje. Od 5 lat trwa-

PICASSA



Wyobraźnia Picassa jest szumnie niesłuszna. Rewelacyjne są wreszcie portrety kobiet dnia dzisiejszego, Panny D (Sylwette) i Pani Z. malowane w roku 1954—55. Nowością przemawia przez nie w każdym szczególe. Są to kobiety, które uodniają włosy w „koński ogon”, noszą prostą współczesną biżuterię, a czy mają wielkie i „głębokie jak sny o przyszłości”.

„Ta istota współczesna — pisze Aragon — to bardzo młoda kobieta, której nie dałoby się namalować w 1950 roku. — Samo to już jest nowością i stanowi niepokój młodości, tego co tak osobliwie przemienia się w istocie ludzkiej, co dostrzec można w przemianach najdłuższego nawet życia człowieka — na przestrzeni pół wieku czy dłużej. Owa młoda kobieta



to już najbliższa przyszłość, ale uciążliwie jeszcze tajemnicą”.

Głosy krytyków na temat twórczości ostatniego okresu są różnorodne. Część z nich pomawia Picassa np. o „pościganie się pod akademicki manierizm i staranie się wyłącznie o dekoracyjność”.

W każdej jednak krytyce łatwo jest o nieporozumienie (niejednokrotnie myśli, która jest głównym motywem dzieła, w języku krytyki może zastąpić najwyżej na miano anegdoty lub literatury — a więc produktu ubocznego, jeśli nie hamującego).

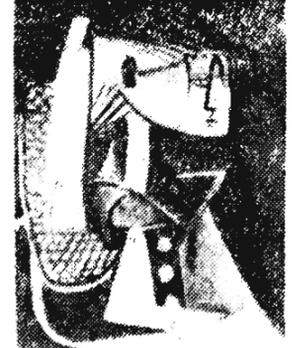
O Picassie pisano i pisze się rzeczywistości bardzo wiele.

Różne też były nazwy jego ideologicznej postawy; i tak np. zwolennicy intuicjonizmu Bergsona widzieli w dziele jego ów „majestatyczny krok w nieznaną”, „psychonalitycy” „rozdartą świadomość”, egzystencjaliści — „niezwykle okrucieństwo umysłu”.

Ileż to istnieło na świecie sprzecznych ze sobą poglądów... Wszystko to sprawy ludzkie.

W dziele Picassa nie wzięli góry ani mistycy ani modny egzystencjalizm.

My nazywamy sztukę Picassa humanistyczną. OLGA



RAPULARZYK NIEDZIELNY

Dużymi literami TOLERANCJA

Chińska maksyma: „Niech kwitną wszystkie kwiaty, niech się spierają różne szkoły” jest w istocie maksymą o tolerancji. Bez najdalej idącej tolerancji polityka „stu kwiatów”, jak chcą tego jedni, albo „wszystkich kwiatów”, jak pragną tego drudzy, jest nie do pomyślenia. Niemniej jednak, ta tak istotna część tej polityki, z dużą trudnością przyjmuje się w naszym kraju w dziedzinie kultury. A cała rzecz w tym, by tolerancja nie stała się w sprawach kultury, nauki, twórczości, czymś mechanicznym, narzuconym z góry, czymś, co należy „wykonywać”, „realizować”. Cała rzecz w tym, by tolerancja była rzeczą ograniczoną, wynikającą z całego układu naszego życia.

Szereg zjawisk, które obserwuje się obecnie, daje podstawy do sądu, że tolerancja jest u nas ciągle niewłaściwie rozumiana. Tolerancja zakłada współistnienie, współrealizację sprzecznych nawet kierunków myśli i działania przy jednoczesnym jasnym i klarownym określeniu własnego stanowiska, własnej postawy i własnych zastrzeżeń, przeciw innemu stanowisku i innej postawie. Tolerancja przecież nie zmusza nikogo do tego, by rzecz, której nie uznaje — uznawał. Zmusza natomiast do tego, by rzecz, której nie uznaje, pozostawiał taką samą wolność rozwoju, istnienia i rozpowszechniania, jaką sam sobie życzy. Otóż ten tok myślenia doprowadza nas do jednego wniosku. Najbardziej widomą oznaką tolerancji jest dyskusja — szersza, pozbawiona jakiegokolwiek natłotu administracyjnego nacisku.

Mówiąc, iż istnieją symptomy niepełności rozumienia tolerancji — a mówię tu o tolerancji w kulturze — mam na myśli ówczesną podniektórych działaczy kultury, redaktorów itp. do płynięcia na fall ugodowości, na fall kompromisów. Jakoś zbyt mało atakuje się i zbyt mało się broni — wychodząc z najprawdziwszych przekonań. Jakoś dzisiaj nikt nie ma ochoty występować przeciwko rzeczom modnym i popularnym i bronić rzeczy niemodnych i niepopularnych. Zresztą jak z najlepszych czasów „braku tolerancji” istnieje zjawisko podciągania takich rzeczy, jak forma artystyczna

pod strychulec polityki, doszukiwania się w formie artystycznej dowodów na „za” lub „przeciw” odnowy Rodzi to też mnóstwo bojaźliwych, którzy w niepewności o swoją pozycję niezbyt chętnie wyrażają osobiste zdanie. Otóż właśnie to świadczy, że brak nam odwagi, bez której nie ma mowy o żadnej prawdziwej tolerancji. Ostatnie dwa lata zrodziły nam ogromną ilość zwolenników i entuzjastów jazzu, malarstwa abstrakcyjnego, muzyki konkretnej i poezji jak najmniej konkretnej. Nie sądzę jednak, ażeby te wszystkie zjawiska nie posiadały oprócz zwolenników i entuzjastów również zdeklarowanych przeciwników. Nicstety, w naszej prasie różnic nie widać. Nie widać chętkiwizmu szerokiego, widzącego dwa końce pałki.

To sprawa odwagi. Ze odwagi tej nie starczało w okresie „biedów i wypaczeń” to jeszcze zrozumieć można. Nacisk administracyjny, represje, robiły swoje. Ale w dobie tolerancji obawiać się głoszenia własnych poglądów, jakie by one nie były — jest serwilizmem, oportuniźmem i konformizmem nie do wybaczenia, gdyż odbija się na stanie naszej kultury, która maluczko, a może stać się znowu jakąś jednostronną, zuniifikowaną, chociaż zamiast „socjalistycznego” w treści i narodowego w formie” transportu niesiony będzie atlas rozkwitającej flory ziemskiego padola.

Jednostronność jest zaprzeczeniem tolerancji. I dlatego trzeba zwalczać jednostronność, po to, by kwitły wszystkie kwiaty, zwalczać jednostronność niezależnie od tego, skąd się ona bierze, gdyż zwykła kończy się ona na uzurpacji. Rozumiem prawo reakcji w artystycznych poszukiwaniach, rozumiem, że po socrealizmie niezbyt chętnie słucha się w ogóle słowa „realizm”. Rozumiem to, ale nie przypuszczam, by całkowicie rozplynęli się zwolennicy realizmu w sztuce, chociaż nie bronią swego stanowiska (co warte jest wysiłku, zwłaszcza gdy nikt ich do tego nie nawołuje). Podobnych rzeczy

jest jeszcze wiele. Czytając to, co napisałem dotychczas, przestraszyłem się. Przy naszym stanie tolerancji mogą zostać przecież zaatakowani, że bronią rzeczy starych i złych, że wypowiadają słowo „realizm”, domagając się ujawnienia przeciwników: jazzu, muzyki konkretnej, poezji Białoszewskiego, tasyzmu Kantora, panien Rczbiarskich czy Inwazji kryminalistów, domagam się powrotu do dawnego stanu rzeczy, czyli do nietolerancji.

Nie wydaje mi się tak jednak. Trzeba pobudzać w społeczeństwie — zwłaszcza w stosunku do zjawisk kultury i nauki — zdrowy sceptycyzm. Sceptycyzm zaś bez wyraźnych określeń stanowiska i poglądów, nawet diametralnie sprzecznych istnieć nie może. A bez sceptycyzmu istnieć nie może tolerancja, którą na potoczny język przetłumaczyć można: To, co robi X, jest dla mnie niestusne i głupie, z tym, co on robi nie zgadzam się, i mówię o tym głośno, właśnie dlatego, że ma takie same prawa jak ja. Jeżeli przekonam większą ilość ludzi — zwyciężyłem, jeżeli przekonam ich więcej X — tym — w moim mniemaniu — gorzej dla przekonanych.

Czy są granice tolerancji? Czy jest ktoś zwolniony z tolerancji? Nie ma granic tolerancji dla działaczy kultury, dla organizatorów kultury. Jedyne twórcy z natury rzeczy mogą być nietolerancyjni, gdyż im bardziej wierzą w jedyną słuszną tego, co robią, tym większe są szanse, że stworzą dzieła wartościowe. Ale nawet ci najbardziej nietolerancyjni, najbardziej jednostronni i najbardziej w tej osobistej jednostronności agresywni twórcy, pisarze, krytycy są rzecznikami tolerancji pojmowanej szeroko, jak najszerszej, gdyż inaczej groziłoby im — milczenie.

W. A. R.

Przyjaźń

... jest najszlachetniejszym uczuciem ludzkim. Była, jest i będzie natchnieniem poetów, pisarzy kompozytorów i malarzy — tematem dzieł wielkich i małych. Trwała przyjaźń między ludźmi różnych ras na radości i poglądów jest warunkiem spokojnego życia na naszym globie. Chyba najszybciej zająrużniają się młodzi ludzie i dlatego wszystkim dotychczasowym festiwalom młodzieżowym i obecnemu w Moskwie — przyswieca jeden wielki cel: „Przyjaźń”!

Przystawia, które są mądrością narodów wiele mówią o przyjaźni — oto gród przysłów starohinduskich i polskich:

„Ten ci jest prawdziwym przyjacielem jeśli nawet pochodzi z obcego rodu — kto trwa wiernie przy tobie w eszczerściu, gdyż w szczerściu kłóży, jakiegokolwiek był by rodu wydaje się przyjacielem”.

„Czyje serce nie zmienia się niezależnie do tego, czy ktoś jest bogaty czy biedny, ten jest zaprawdę przyjacielem”.

„Nie spotka cię nieszczęście, jeśli masz przyjaciół, choćby ci nawet tylko dobrym słowem wsparli”.

„U kogo wciąż gromadzą się przyjaciele, w tego sercu mieszka radość — a z nią nie się nie da porównać w świecie”.

„Kto ma przyjaciół, dokona takich dzieł, którym by sam nie podolał, dlatego należy troszczyć się o przyjaciół i wybierać ich spośród ludzi podobnie myślących jak my”.

„Czasem rzecz drobna rodzi uczucie i rzecz drobna je zabiła”.

„Kto nie lubi swego przyjaciela, ponieważ popełnia on niekiedy pewne błędy — podobny jest człowiekowi który nę lubi własnego ciała, bo jest ulomne”.

„Kto bez jakiegokolwiek powodu staje się największym wrogiem swego druha, ten przepadł dla przyjaźni”.

„Dla przyjaciela nowego, nie opuszczaj starego”.

„Nie ten przyjaciel co cię chwali, ale ten co ci prawdę mówi”.

(Zebrał i opracował Wł. S.)

stare ANECDOTKI

FLECY

— Panie reżerencie... jesteście niedbały w służbie. Dlaczego nie tańczyliście wczoraj z moją żoną, która nudała się przez cały wieczór?

— Panie naczelniku... będę się starał...

— No, pamiętajcie na przyszłość i wiedcie o tym, że tylko sumienne wykonywanie obowiązków służbowych może zapewnić przyszłość młodemu człowiekowi.

TAJEMNICA URZĘDOWA

— Fiszę ciągle o zdradzeniu tajemnic urzędowych — powiada mi, jesteście przecież urzędnikiem... co to jest tajemnica urzędowa?

— To wszystko, co się dzieje w urzędzie.

— A więc o tym wszystkim wcale mówić nie wolno?

— Wolno, ale dopiero w ten czas, gdy już wszyscy wiedzą.

PODSŁUCHANA ROZMOWA

— Cóż ten wasz szef tak piorunuje, grzmi i wybucha co chwila?

— O, bo to prawdziwy biurokrater.

DOMYŚLNY

— Jak się prezes miewa?

— Nietego, jestem niewyspany.

— Ach, pewno dziś nie było sesji...

NIEUDANY WYWIAD

Do urzędnika instytucji

spółdzielczej przychodzi dzieńnikarz na interview.

— Jestem dziennikarzem. Zależy mi na tym w interesie dziennika, aby się dowiedzieć jakie pan ma przekonanie co do...

Urzędnik wstaje: Przepraszam pana, ja nie mam żadnych przekonań i nic nie myślę — jestem urzędnikiem.

Chore

uzdrowiska

(Dokończanie ze str. 3)

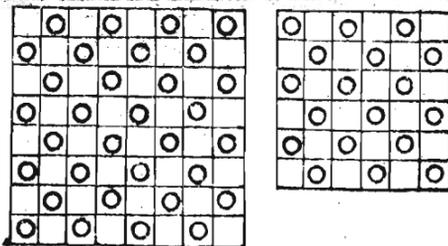
rektorowi uzdrowiska, tow. Sikorze, z powodu groźby epidemii, jaka wisi nad Iwoniczem, też mogłaby znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie właśnie w Wydziale Zdrowia, już w naszym rzeszowskim podwórku. Iwonicz trzeba odciążyć dla chorych, dzieci kolonijne mogłyby znaleźć miejsce w Rymanowie.

Tu wreszcie ktoś musi ruszyć głową. W Dyrekcję Uzdrowisk Państwowych wieść nie możemy — pozostaje więc wiara w WRN w Rzeszowie. Kłopoty będą, ale przecież musimy ponieść odpowiedzialność. W każdym razie inicjatywa i rozsądna gospodarka dadzą na pewno lepsze rezultaty. A to wszystko w konsekwencji mnoży pieniądze, przynosi realne dochody, a przede wszystkim nie pozwala na zaprzestanie, niewielu przecież, drogowych uzdrowisk, w rodzaju Iwonicza.

Krzyszyna Świerczowska
Edmund Gajewski

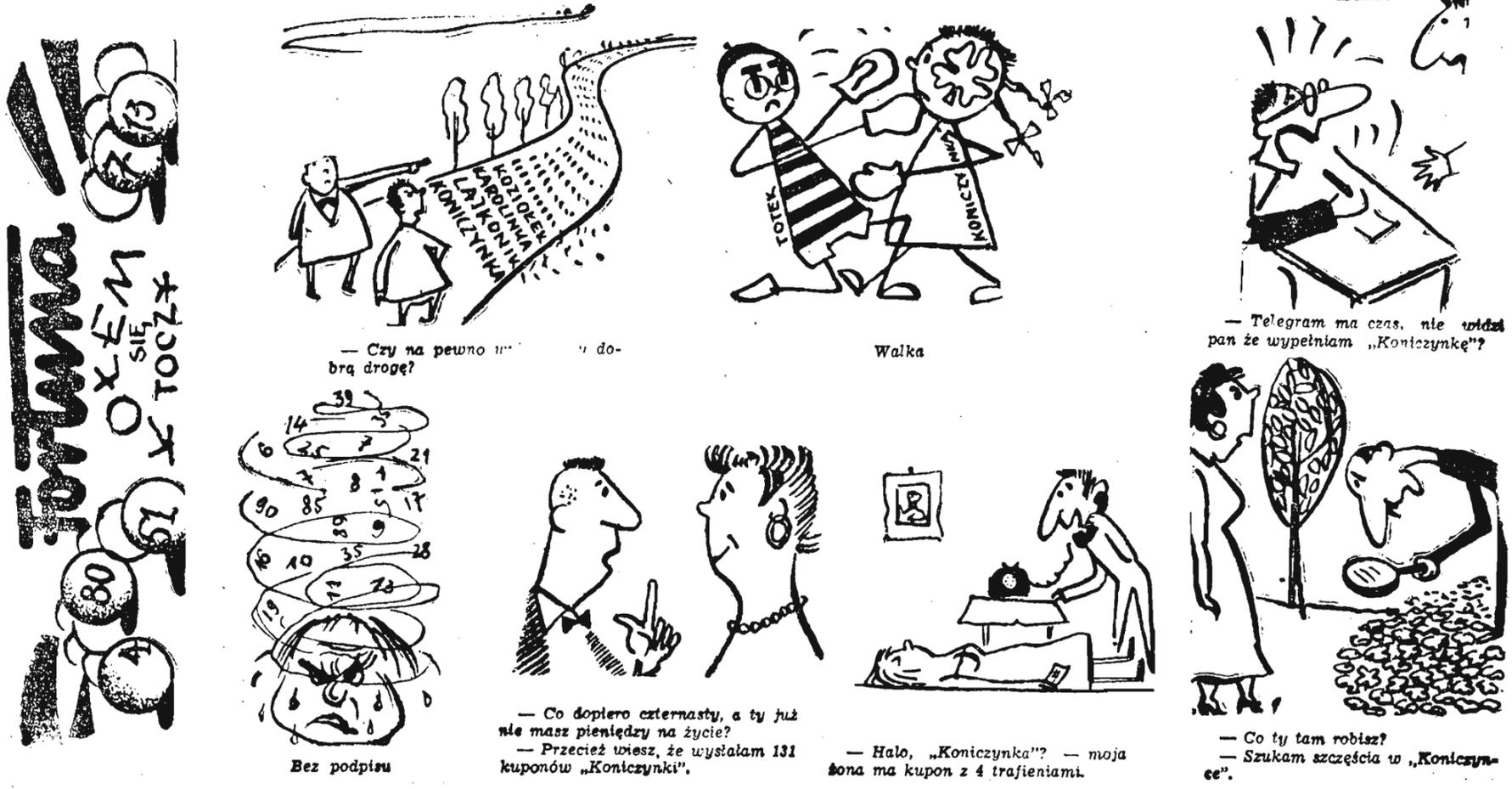
Nie trudno zgadnąć

JAK ZESZCZ Z DWU DWYANIKÓW JEDEN!



Przedstawione na rysunku 2 kwadraty materiału w kratkę porożnić tak aby powstał z nich jeden kwadrat, którego pole równałoby się sumie pól kwadratów mniejszych. Odcięte części nie

NADAWANIE TELEGRAMÓW



— Czy na pewno... do- brą drogę?

Walka

— Telegram ma czas, nie widać pan że wypełniam „Koniczynkę”?

— Co dopiero czerpnę, a ty już nie masz pieniędzy na życie? — Przecież wiesz, że wysłałam 131 kuponów „Koniczynki”.

— Halo, „Koniczynka”? — moja bona ma kupon z 4 trafieniami.

— Co ty tam robisz? — Szukam szczęścia w „Koniczynce”.

Fortuna
XEM
SIE
X TOCZ*

39
14
21
6
2
21
90
85
8
5
17
10
35
28
10
11
22
19
13

Bez podpisu